POLSCY WYPĘDZENI

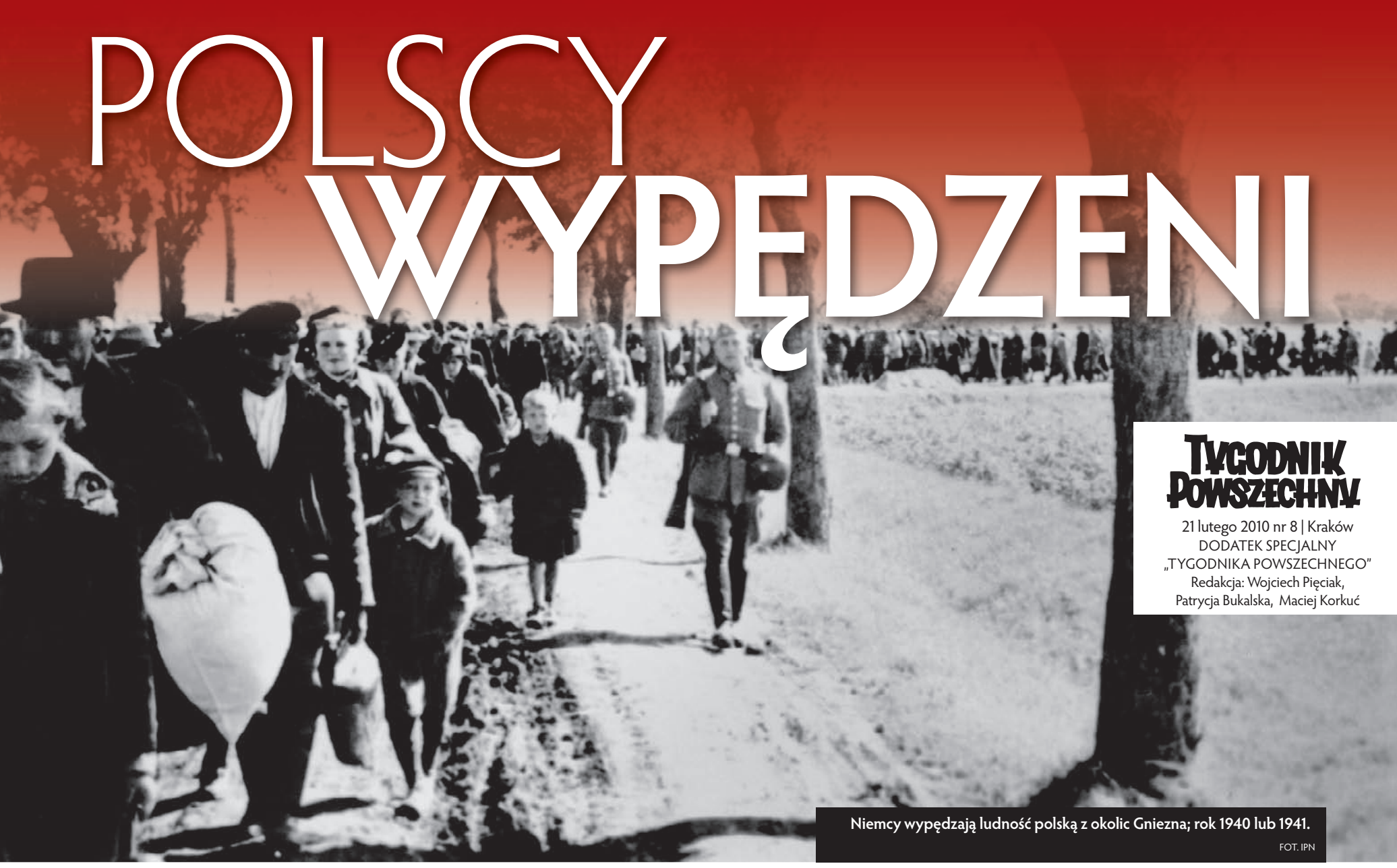

TYGODNIK POWSZECHNY
21 lutego 2010 nr 8 | Kraków
DODATEK SPECJALNY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"
Redakcja: Wojciech Pięciak, Patrycja Bukalska, Maciej Korkuć

Niemcy wypędzają ludność polską z okolic Gniezna; rok 1940 lub 1941.

FOT. IPN

Historia, polityka, emocje

70 LAT TEMU, W LUTYM 1940 R., SOWIECKIE WŁADZE OKUPACYJNE ZACZĘŁY MASOWĄ WYWÓZKĘ OBYWATELI WSCHODNIEJ POLSKI. W TYM CZASIE POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ WYSIEDLENIA TRWAŁY OD DAWNA, I TO NA JESZCZE WIĘKSZĄ SKALĘ.

WOJCIECH PIĘCIAK

W mentalności Polaków silnie obecna jest świadomość przymusowych wysiedleń dokonanych przez Sowietów. Mniej pamiętamy o tych dokonywanych przez Niemców. Może dlatego, że w bilansie lat 1939–59 (tj. od początku wojny do końca masowych wywózek z Kresów) liczba wygnanych „zza Buga" jest wyższa: ziemię rodzinną musiała opuścić ogromna większość z żyjących tam ponad 5 mln Polaków. Poza tym, wygnanie z Kresów było nieodwracalne. Dziś miliony Polaków są potomkami tych, którzy nie mogli wrócić do swej ziemi rodzinnej.

Wszelako podczas samej wojny to nie Sowieci, ale Niemcy wygnali więcej Polaków. Licząc tylko obywateli II RP narodowości polskiej, historycy dochodzą do 1,7 mln tych, których Niemcy wygnali, konfiskując lub niszcząc ich mienie. Chodzi nie tylko o mieszkańców ziem wcielonych wprost do Rzeszy, ale też o ofiary wysiedleń na terenie tzw. Generalnego Gubernatorstwa – to Zamojszczyzna, Warszawa (jej ludność wygnano po powstaniu w 1944 r.) czy kilkaset spalonych wsi; muzeum w Michniowie na Kielecczyźnie, które zbiera takie dane, podaje liczbę 817 zniszczonych wsi w obecnych granicach Polski i kilkuset na Kresach.

W efekcie na 24,5 mln mieszkańców powojennej Polski (dane z 1950 r.) aż 6,5 mln, czyli ponad 26 proc., miało za sobą doświadczenie – mówiąc językiem naukowym – „przymusowej i trwałej zmiany miejsca zamieszkania". Czyli wypędzenia z ziemi rodzinnej. A do liczby tej trzeba dodać kilkaset tysięcy tych, którzy nie mogli wrócić do powojennej Polski opanowanej przez komunizm – byli skazani na emigrację na Zachodzie.

Lata 1939-59 zmieniły w ogóle mapę etniczną terytorium między Odrą a wschodnią granicą II RP: zjawisko wygnania objęło tu 30 mln ludzi – Polaków, Żydów, Niemców, Ukraińców. Zniknęła dawna Europa Środkowa. „Zerwaniu uległa – piszą autorzy monografii „Wysiedlenia, wypędzenia i ucieczki 1939–1959. Atlas ziem Polski" (wyd. Demart 2008) – ciągłość rozwoju cywilizacyjnego wielu obszarów. Tragediom ludzkim niejednokrotnie towarzyszyła zagłada znacznej części dobytku materialnego i spuścizny kulturalnej wytworzonej przez wieki".

Norwid postulował, by „odpowiednie rzeczy dać słowo". Gdy mowa o polskich wypędzonych, panuje mnogość pojęć. W PRL-u wylansowano kłamliwy termin „repatrianci" („repatriacja" to „powrót do ojczyzny", a Polacy z Wilna nie wracali przecież do ojczyzny w Szczecinie). Dziś mówi się o wygnańcach, wypędzonych, wysiedlonych. Ten chaos języka ma swe przyczyny. Niemcy nazywają wypędzonym każdego, kto opuścił dom na wschód od Odry po 1944 r. (nawet jeśli wcześniej był to dom Polaków; to historia Eriki Steinbach, urodzonej w okupowanej Rumii). W przypadku Polaków zjawisko wygnania towarzyszyło im stale między rokiem 1939 a 1959, tyle że w różnym miejscu, czasie i charakterze.

Pozostaje faktem, że wielu, może większość polskich wypędzonych – i Wielkopolanie, i Kresowiacy – w minionych dekadach żyła w przekonaniu, że ich los jest na drugim planie pamięci zbiorowej. Tak było przed 1989 r., tak było później. Gdy w przestrzeni publicznej mowa jest dziś o wojnie, dominują takie tematy jak 1939, Katyń, Powstanie, obozy, Holokaust. Generalnie: z jednej strony walka, z drugiej cierpienie, to najcięższe. Pamięć o wygnańcach jest jakby w cieniu. Chyba nie tylko dlatego, że w PRL-u wygnanie z Kresów było tematem tabu. Zapewne też z tego powodu, gdyż – jak mówi Maria Rutowska, autorka prac o Wielkopolsce (cytowana w tym dodatku) – „trzeba pamiętać, jak straszna to była wojna. Po niej liczono przede wszystkim ofiary egzekucji, obozów, więzień. A wysiedleni przeżyli i byli szczęśliwi, że żyją". Mechanizm ten działał zresztą w drugą stronę: „W zestawieniu ze zbrodniami hitlerowskimi, obozami koncentracyjnymi, komorami gazowymi i egzekucjami, wysiedlanie Niemców po 1945 r. wydawało się rzeczą wręcz humanitarną" – mówiła prof. Krystyna Kersten w 1993 r., podczas jednego z pierwszych polsko-niemieckich spotkań na temat wygnanych Niemców i Polaków.

Ostatnio „zasługę" dla przypomnienia polskich wypędzonych miała wspomniana Erika Steinbach: jej działalność spowodowała, że w Polsce zaczęto mówić i o tym aspekcie wojny. Trafchciał, że kilka dni temu zakończył się w Niemczech spór o to, czy Steinbach ma zasiąść we władzach fundacji, która zbuduje muzeum wypędzonych. Skończył się on kompromisem ze wskazaniem na Steinbach: choć nie będzie jej w fundacji, w zamian za jej rezygnację rząd Niemiec zrzeka się kontroli nad muzeum. Co z tego wyniknie, zobaczymy. Być może poniewczasie okaże się, że lepiej byłoby, gdyby Steinbach do muzealnej fundacji weszła, ale niemiecki rząd miał nad nią kontrolę.

Nie o Steinbach ma być tu jednak mowa. Niemniej, analogia z Niemcami może być pomocna – gdy mowa o emocjach. W 2002 r. powieść Güntera Grassa o cierpieniach uchodźców z Prus i zatopieniu statku „Gustloff" stała się bestsellerem, wywołując silne reakcje. Niektóre sprawiały wrażenie od dawna tłumionego krzyku. „To dobry uczynek, że po pół wieku milczenia mówi się o niesłychanym cierpieniu Niemców. Nareszcie własną twarz uzyskała śmierć tysięcy – zamarzających i zdychających na poboczach dróg, rozrywanych bombami w niszczonych miastach" – pisała czytelniczka jednej z gazet, jakby zrzucając coś z siebie. Dla takich jak ona Grass – właśnie on! – integrował symbolicznie ich los w przestrzeni publicznej. Jakie emocje towarzyszą dziś Kresowiakom czy Wielkopolanom? Gdy przygotowywaliśmy ten dodatek (nie mając świadomości, że zbiegnie się on z finałem dyskusji w Niemczech), nasi dziennikarze – po części sami będący potomkami wygnańców – zauważali, że bohaterowie ich tekstów reagowali bardzo emocjonalnie. Także zdumieniem, że ktoś interesuje się tematem będącym w ich przekonaniu na marginesie polskich debat. Nawet jeśli są to odczucia subiektywne, warto mieć je na uwadze, gdy dyskutujemy o polskich wypędzonych. Także o filmach, powieściach czy muzeach, które powinny ich los dziś na nowo opowiadać. Tych, które w Polsce wciąż nie powstały. ◆

Dodatek powstał we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

MAMA WZIĘŁA INO CHLEB

Polak spod Żywca w obozie przejściowym; naszyty numer wskazuje, że to „starszy" grupy wysiedlonych

Polka spod Żywca w obozie przejściowym; zdjęcia zrobił potajemnie fotograf nazwiskiem Macikowski

W RAMACH „AKTION SAYBUSCH" OD WRZEŚNIA 1940 DO STYCZNIA 1941 R. NIEMCY WYGNALI KILKANAŚCIE TYSIĘCY POLAKÓW Z OKOLIC ŻYWCA – W 1939 R. WŁĄCZONYCH W GRANICE RZESZY.

ICH DOMY ZAJĘLI NIEMCY. DLA WŁADZ RZESZY BYŁA TO PRÓBA GENERALNA PRZED KOLEJNYMI PRZESIEDLENIAMI. DO KOŃCA OKUPACJI Z POWIATU ŻYWIECKIEGO WYGNANO 50 TYS. POLAKÓW: JEDNĄ TRZECIĄ MIESZKAŃCÓW.

ANNA MACHCEWICZ

Rodzice pracowali u gospodarzy na nasze utrzymanie. Były to warunki ekstremalne, często byliśmy głodni i bez środków do życia. W 1942 r. umarł ojciec, który jest pochowany w Radzyniu. Została matka z pięciorgiem dzieci, ja najstarsza miałam 11 lat. W jaki sposób przebyliśmy ten koszmar, tylko my wiemy. Matka w 1946 r. sprzedała obrączki ślubne, żebyśmy mieli za co wrócić do Jeleśni. A tu też wszystko spalone" – zapiski Joanny Świątkowskiej, przechowywane dziś w Muzeum Miejskim w Żywcu, to jedna z relacji dokumentujących losy wysiedlonych mieszkańców Żywiecczyzny. Tragedia Jeleśni zaczęła się o świcie 22 września 1940 r.: jej mieszkańcy mieli opuścić domy, aby zrobić miejsce dla rodzin niemieckich.

Bieda i piękno

Wysiedlenie wsi Sól zostało zarejestrowane wyjątkowo sugestywnie – dzięki talentowi nieznanego fotografa, skrupulatnie dokumentującego kolejne etapy działań niemieckiej administracji i policji. Na czarno-białych zdjęciach, które przeglądam w żywieckim muzeum, tragedia ożywa. Kobiety z uwieszonym u spódnicy wianuszkiem dzieci. Bezradność dorosłych, otoczonych przez niemieckich policjantów z bronią. Nieme oczekiwanie na dalszy ciąg wydarzeń. Opuszczone chaty i gospodarstwa obwieszone zostały powitalnymi hasłami, przeznaczonymi dla nadciągających jeszcze tego samego dnia nowych mieszkańców. Na zdjęciach, zrobionych pewnie w celach propagandowo-instruktażowych, uderza perfekcyjna organizacja.

Wieś Sól rozciąga się w rozległej dolinie, a potem jeszcze pnie się w górę. Piękno Żywiecczyzny od dawna przyciągało letników, którzy szczególnie chętnie zjeżdżali z pobliskiego Śląska. Atrakcją dla miejscowych panien były wojskowe manewry podchorążych. – Jacy piękni byli ci chłopcy w mundurach – wspomina 83-letnia dziś Helena Szatanikowa. – Ale bieda była, do kościoła w Rajczy chodziło się na piechotę i boso od wiosny do jesieni, żeby buty zaoszczędzić. Ludzie do Ameryki wyjeżdżali za chlebem.

– Jak wojna wybuchła w 1939 roku, to my się z bratem tak cieszyli, że widzimy samoloty; my nie mówili „samoloty", ino że „jedzie auroplan" – opowiada pani Helena. – Niesłam bańkę mleka, pięć litrów, aż do koło stacyi, do maminej siostry i tak się żem cieszyła, bo ten samolot lecioł rzeką, a tu nauczyciel z naszej szkoły miał karabin i tam położył się na brzegu i zaczoł strzelać do tego samolotu. Samolot trochę niżej zlecial i pach, pach, pach do rzeki. I już się nauczyciel stracił, już nie było widać. A ja poszłam z mlekiem dalej. A potem przez rok spokój był. Tak we wsi nie widziałam niemieckich żołnierzy, wcale nie chodzili.

Polscy Habsburgowie

Kilkadziesiąt kilometrów dalej, w Bielsku, Niemcy organizowali partyjne manifestacje NSDAP i zebrania, podczas których przyjmowano dziękczynne rezolucje za wyzwolenie od „terroru polskiego". W Soli tylko nieliczni tutejsi Niemcy podpisali volkslistę. Mimo to nie zapamiętano ich źle. Raczej starali się pomagać sąsiadom-Polakom.

To była cisza przed burzą. Teren Żywiecczyzny został już jesienią 1939 r. włączony bezpośrednio do obszaru Trzeciej Rzeszy – obok Pomorza czy Wielkopolski. Z jednej strony wskazywano na cechy wspólne górali żywieckich z mieszkańcami Tyrolu i innych niemieckich obszarów górskich, z drugiej uderzono w miejscową inteligencję: 10 listopada 1939 r., na dzień przed polskim Świętem Niepodległości, w wadowickim więzieniu osadzono 17 zakładników spośród mieszkańców Żywca. Wśród aresztowanych byli profesorowie Józef Namysłowski i Jan Leo, Michał Jeziorski, twórca Muzeum Żywieckiego, mgr inż. Czesław Mączyński, prezes Towarzystwa Szkół Ludowych, prezes Związku Weteranów Armii Polskiej we Francji. Większość została osadzona w obozie koncentracyjnym Mauthausen-Gusen.

W grudniu 1939 r. przeprowadzono policyjny spis ludności, który zobowiązywał mieszkańców regionu do określenia narodowości. Ponad 99 proc. określiło się jako Polacy. Jednoznacznie uczynili tak również właściciele dóbr żywieckich: Karol Olbracht Habsburg (oficer Wojska Polskiego) i jego żona Alicja.

Jednoznaczne wyniki spisu zdecydowały zapewne o tym, że cały region został poddany wysiedleńczemu eksperymentowi. Jego rzecznikiem był pierwszy pełnomocnik Komisarza Rzeszy dla Umacniania Niemczyzny w prowincji górnośląskiej, SS-Obergruppenführer Erich von dem Bach Zelewski (późniejszy „kat Warszawy"). W miejsce wygnanych Polaków planowano sprowadzenie rodzin niemieckich. Jego następca dr Fritz Arlt przewidywał w dalszej perspektywie wysiedlenie z prowincji górnośląskiej ponad miliona osób. W ich miejsce zamierzał sprowadzić 320 tys. osadników-Niemców.

Planowanie

„Aktion Saybusch" (Saybusch – to po niemiecku Żywiec) była przygotowywana od lipca 1940 r. Czas naglił. W obozach dla niemieckich przesiedleńców w Boguminie i Cieszynie od tygodni czekały już na nowe domy niemieckie rodziny repatriowane do Rzeszy na mocy umowy z ZSRR, wtedy jeszcze sojusznikiem Niemiec. Przybyli z okupowanych przez ZSRR terenów Rzeczypospolitej: z Wołynia i Galicji.

Niemiecka administracja postanowiła wykorzystać doświadczenia nabyte podczas wcześniejszych wysiedleń z Kraju Warty. Kierownicy punktów „ewakuacyjnych" mieli otrzymać stamtąd odpowiednie materiały; opracowano dokładne rozkłady jazdy pociągów, obliczono liczbę osób objętych transportem i wielkość przyznanych im racji żywnościowych. Wśród wysiedlonych nie mogło być osób narodowości żydowskiej, zalecano też unikanie wysiedlania rodzin, których członkowie przebywali na robotach w Rzeszy. Koszty akcji wysiedleńczej obliczono skrupulatnie na kwotę 300 tys. marek – ponieść mieli je

Wypędzenie Polaków z Ziemi Żywieckiej, rok 1940.

Niemieccy osadnicy przybywają do wsi, z której wygnano Polaków; transparent głosi: „Witamy w nowej ojczyźnie”.

ZDJĘCIA ZE ZBIORÓW MUZEUM MIEJSKIEGO W ŻYWCU X 4

w znacznym stopniu sami wysiedlani, przez konfiskatę posiadanych przez nich wszelkich kosztowności i biżuterii. „Skonfiskowane przedmioty należy oddać kierownikowi administracji przy przekazaniu ewakuowanych rodzin” – zapisano w wytycznych opracowanych przez gestapo.

W czasie narady w sierpniu 1940 r. w katowickim oddziale Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy podano konkretne rozmiary operacji: zamierzano wysiedlić 20 tys. Polaków i na ich miejsce osadzić 800 rodzin niemieckich. W wysiedleniach miał wziąć udział specjalny oddział policji, w którym znalazło się ok. stu funkcjonariuszy znających język polski.

My nic nie pakowali

– W niedzielę ksiądz w Rajczy ogłosił, że nas będą wysiedlać. Mama była i słyszała, jak mówił: „Ludzie, nie traćcie nadziei, jakoś to będzie”. A cały kościół wybuchnął płaczem. A potem to już była zawierucha – wspomina Helena Szatanikowa. – I było tak. Samochód stanął, weszło trzech żołnierzy do domu, po polsku mówili. Lista była wypisana, a ja bardzo płakałam. A jeden żołnierz mówi, żebym nie płakała, że tam, gdzie pojedziemy, ładny dom będzie.

Franciszka Brysiowa miała 13 lat. – Nasz dom nie był bogaty – opowiada dziś. – Tata zginął przed wojną w wypadku, miałam dwie siostry i brata. Mieszkali my w domku drzewianym. Mama gospodarzyła, mieliśmy dwie krowy, świnie my chowali i w polu robili, wszystko rękami. Jednego ranka mama poszła krowy doić, my jeszcze leżeli w łóżkach. Mama przyszła tyle co z mlekiem, zaraz czterech weszło żołnierzy, teraz to wiem, że niemieckich, ale wtedy nie wiedziałam przecież. Jeden trochę umiał po polsku. A my wszyscy do mamy, mamy się łapiemy za spódnicę. Ja była najstarsza, najmłodsza siostra miała siedem lat. Obok była mamina siostra, w jednym domu my mieszkali. Tam też był krzyk taki. Ciotka miała czworo dzieci, jedno malutkie, w podusi je niesła. Nic my nie pakowali, bo nic nie dali. Mama wzięła ino chleb i trochę cukru w torebce. I związała do prześcieradła jedną pierzynę, i wzięła ze sobą na ramię, a my koło mamy. I oni chodzili po domu, zdejmali obrazy i kładli na taką kupkę, i jeden z nich wyniósł przed dom. Na podwórku butami podeptali. Jak nas już wygnali przed dom, to jeden przyszedł ku mamie i kolczyki zabrał mamie z uszu. Trochę krwi poleciało. Mojego ojca bratowa miała siostrę w Niemczech i oni zostali, ich nie wysiedlili. Potem nas zgnali z górki na główną drogę i tu stało auto. Auto było nie kryte, my po takiej drabince wychodzili, ile nas tam było naupychane. I wieźli nas do Rajczy. I tam my byli dzień i noc.

Ze wsi Dolna Sól wysiedlono 129 rodzin, łącznie 628 osób. Wieś Górna Sól ocalała, bo tam gospodarstwa były marniejsze i teren trudny do uprawy.

Chroni cię potęga Rzeszy

Przygotowując wysiedlenie Polaków, władze niemieckie opracowały też plany osiedleńcze, z gotowym podziałem ziemi między przybyłych Niemców. Zapisano komasację gruntów, wyznaczono budynki do wykorzystania, część przeznaczono do wyburzenia. Dobytek wysiedlanych został skrupulatnie spisany przez urzędników. Po wysiedleniu Polaków na teren gospodarstw wkraczały specjalne oddziały zajmujące się pozostawionym inwentarzem i czyszczące pomieszczenia. Jeszcze tego samego dnia po południu nowi właściciele obejmowali w posiadanie cudze domy.

Nie wszyscy byli zachwyceni. Obiecano im wygodne domy i bogaty inwentarz, a żywieckie wsie były raczej biedne, gospodarstwa nieduże, budynki skromne. Przewidując niezadowolenie, niemieckie władze uderzały w patriotyczne tony i resentymenty. Do decyzji o przydziale gospodarstwa załączano ulotkę: „Niemiecki rolniku z Wołynia i Galicji! Wszystko, co znajduje się w tym gospodarstwie, jest twoje. (...) Jeśli gospodarstwo wydaje Ci się gorsze od tego, jakie miałeś dawniej, nie rozpaczaj. (...) Nie wszystkim można było dać piękne zabudowania gospodarcze. To była przecież Polska. Od Ciebie tylko zależy, czy będzie to widoczne, że jest tu wioska niemiecka. Za Tobą jest cała potęga chroniącej Cię Rzeszy”.

Część pozostałej polskiej ludności była wykorzystywana do pracy u nowych niemieckich właścicieli. Bywało różnie. Niektórzy Niemcy starali się traktować Polaków przyzwoicie – może w grę wchodziło współczucie, a może, im bliżej klęski, obawa przed tym, co nadejdzie.

Na początku 1945 r. niemieccy osadnicy uciekli przed frontem.

Jedna trzecia

Los wysiedlonych Polaków obchodził władze niemieckie mniej. Zadbano jedynie o sprawne pozbycie się ich z granic Rzeszy. Budynek sanatorium w Rajczy, dar żywieckich Habsburgów, był jedynym tak obszernym w okolicy. Tu Niemcy urządzili jeden z punktów zbornych dla wysiedlanych; pozostałe były w Żywcu i Suchej. Zwożonych dzielono na 40-osobowe grupy; tyle przewidziano do jednego wagonu. Każda grupa otrzymywała numerację i wybierała spośród siebie „Gruppenführera” (kierownika), który miał spisać personalia. Znakiem rozpoznawczym kierownika była chusteczka przywiązana do ramienia i naszyty numer. Głowa rodziny też dostawała numer; dzieci musiały pilnować się rodziców, by nie zginąć w tłumie.

Do nich zresztą groza położenia nie do końca docierała. – My z bratem się cieszyli, że pojedziemy pociągiem. Ot, młode my byli i ciekawe – opowiada Franciszka Brysiowa. – Wieźli nas tym transportem całą noc. A rano przeczytałam napis: stacja Łódź. A stamtąd dalej powieźli nas do miasta Końskie [w GG – red.] i tu wyładowali.

Deportacje, w sumie 19 transportów, rozproszyły żywieckich górali po całej GG. Ale nie tylko tam jechali: niemieckie meldunki wspominają o wyłączaniu z transportów rodzin, które poddać miano badaniom rasowym. Pozostawali w Łodzi – i tu trop się urywa. Z transportów zabrano też część młodzieży powyżej 14. roku życia, na roboty do Niemiec.

W efekcie do GG dotarły w większości kobiety, małe dzieci i ludzie starsi: trafiali do wiosek w okolicy Warszawy, Krakowa, Radomia i na Lubelszczyźnie. Tu „opiekę” nad nimi przejmowała lokalna administracja okupacyjna, która przydzielała miejsca do mieszkania. W praktyce wysiedleńcy, pozbawieni własnych domów i jakiegokolwiek dobytku, skazani zostali na łaskę obcych ludzi, dla których przybycie obcej rodziny oznaczało dodatkowy ciężar.

Ci, którzy zostali na Ziemi Żywieckiej, nie mogli jednak czuć się bezpieczni. Choć skończyła się „Aktion Saybusch”, nie skończyły się wysiedlenia. Wprawdzie od 1941 r. Polaków z Żywiecczyzny nie wyrzucano już do GG (także dlatego, że protestował gubernator Hans Frank, argumentując, iż jego „królestwo” jest przeludnione), ale przesiedlano ich nadal.

Odtąd „Polaków przesiedlano wyłącznie w obrębie ziem wcielonych [do Rzeszy]. W powiecie żywieckim los taki spotkał kilkanaście tysięcy ludzi; kolejne ok. 12-14 tys. mieszkańców deportowano w latach 1942–1944 do zlokalizowanych na terenie prowincji śląskiej tzw. Polenlagrów – pisze Mirosław Sikora, historyk z katowickiego oddziału IPN i znawca dziejów Żywiecczyzny, w „Biuletynie IPN” (nr 8-9/2009). – Z obozów tych ludzie byli kierowani do pracy przymusowej w całej Rzeszy”.

„Do końca okupacji – podsumowuje Sikora – ze swoich domów, a przy okazji gospodarstw, względnie zakładów rzemieślniczych i przedsiębiorstw, wysiedlono około jednej trzeciej ludności powiatu żywieckiego”. Czyli 50 tys. ze 150 tys. ludzi.

Jedni przezywali, inni przytulali

Transport z Soli zakwaterowano w Końskich, w opuszczonym zamku; zaopiekowali się nimi pracownicy Czerwonego Krzyża. – My tam spali na słomie jedną noc, a na drugi dzień przyjechali po nas furmankami i nas powieźli na wyznaczoną wieś – opowiada Franciszka Brysiowa. – My trafili na najbiedniejso wieś, 56 domów było. To była wieś Poboża. Nasz domek był malutki. Mama położyła się krzyżem na podłodze, płakała do Boga i krzyczała: „Dzieci, co my tu będziemy robić!”. Za godziną albo dwie przyszedł do nas mężczyzna, pewnie sołtys, przyniósł ziemniaków i kwaśnice, żeby my co uogotowali, i nauczył nas tak, że musi mama chodzić po prośbie, każdy dzień. Moja mama nie chciała iść, ino nas wysyłała. Niektórzy nas przezywali, że po co my tu przyjechali. A niektórzy nas przytulali, dali mleka, chleba.

– Pracy nie było – wspomina Helena Szatanik. – Sołtys powiedział, że musimy jechać do Niemiec, bo tu nie ma życia. Pojechał brat, nie miał jeszcze 17 lat, jak pojechał pod francuską granicę. Listy pisował do nas jeszcze rok czasu, a potem ucięło się. Nie wiedzieli my, co się stało. Ojciec chorował, stracił wzrok. W Arbeitsamcie powiedzieli mu: „Wy się nie nadajecie”. Ja już miałam nakaz – tak Helena trafiła na wieś pod Legnicę, do przymusowej pracy.

Rozproszeniu uległa też rodzina Franciszki Brysiowej. Młodszym bratem zaopiekowało się bezdzietne małżeństwo. – A mama pojechała z siostrami, kuzynka mamino załatwiła jej pracę w Treuglitz koło Opawy – mówi. Po kilku miesiącach jej śladem ruszyła Franciszka. Śmiertelny wypadek matki przyśpieszył dorosłość dziewczyny.

A potem wojna się skończyła: – Były my trzy u ciotki. Już w październiku znaleźli mi męża. Chłop był bogaty, miał cztery morgi pola. Miałam 18 lat, on 19.

Brat już został na wysiedleniu: – Jak się skończyła wojna, to ci, co go przygarnęli, zabrali go do Warszawy. Mama umarła, to oni go wzięli za swoje.

◆◆◆

Helena Szatanikowa wróciła do Soli latem 1945 r. Ponieważ w rodzinnym domu niemieccy osadnicy urządzili stodołę, rodzice zamieszkali u krewnych i zabrali się za remont. A Helena ruszyła znów na Zachód, za pracą i chlebem. Osiadła na „ziemiach odzyskanych”, wyszła za mąż, urodziła dzieci. Do Soli wróciła po latach, na prośbę starych już rodziców.

Chyba w 1948 r. przyszedł list od brata. Opisał w nim swoje losy. – Wszyscy my płakali, że braciszek się odnalazł – opowiada Helena Szatanikowa. – Napisał, że uciekało ich sześciu kolegów, chcieli się dostać do polskiej armii. Trzech doszło, trzech Niemcy zabili. Braciszek dostał się wreszcie do tego wojska. Tam najpierw myśleli, że oni szpiegi, ale potem ich uzbroili i wysłali pod Monte Cassino. Jak przyjechał do nas, po 20 latach, to płakał i mówił: „Mamo, twoja modlitwa mnie tam uratowała”. Jak się wojna skończyła, to Anders ich zabrał do Londynu i powiedział: „Chłopcy, macie wolność, gdzie chcecie, możecie jechać, do Polski, do Ameryki”. Brat sobie pomyślał: „Po co tam pojadę, domu nie ma, Niemcy rozwalili, nie ma nic”. Został w Szkocji, chwycił się pracy na morzu, poznał Szkotkę.

Do Polski już nie wrócił. ◆

Poligon Greisera

„RODZINA MÓWIŁA O TYM WYŁĄCZNIE: WYGNANIE" – ZOFIA PASZKIEWICZ SIĘGA DO PAMIĘTNIKA MATKI.

WRAZ Z NAJBLIŻSZYMI PRZESZŁA DROGĘ WYGNAŃCÓW: Z RODZINNYCH JAKSIC KOŁO INOWROCŁAWIA, PRZEZ TRZY KOLEJNE NIEMIECKIE OBOZY W ŁODZI, AŻ DO CEGŁOWA POD MIŃSKIEM MAZOWIECKIM.

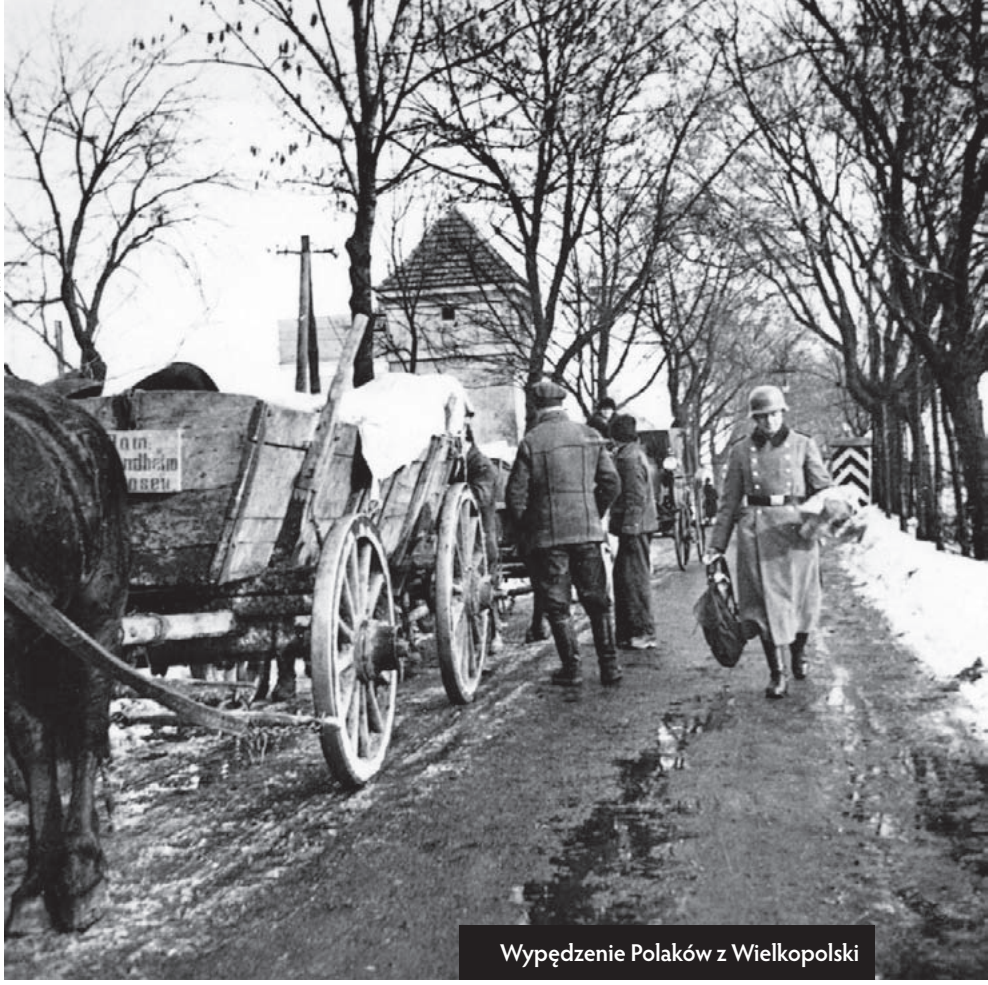
IPN

Wypędzenie Polaków z Wielkopolski

ANNA GRUSZECKA

To nie jest dziennik, to pamiętnik, zawierający listy do mojego ojca Antoniego, uwięzionego w oflagu. Wysyłane listy miały ograniczoną objętość, więc mama tu chciała dzielić się tym wszystkim, co przeżywali wygnańcy, a czego nie mogła napisać w listach do taty – Zofia Paszkiewicz otwiera zeszyt z piękną zieloną okładką.

Zapiski zaczynają się 20 października 1940 r. Matka, Janina Wicowa, ma wtedy 35 lat, małą Zochnę, walizkę z ocalonymi osobistymi rzeczami i dziecięcy wózek. Zofia podkreśla dziś, że rzadko kiedy udawało się wywieźć taki wózek z Kraju Warty.

Nigdy natomiast nie udało się wywieźć pierzyn – i kluczy. „Zamykanie szaf oraz drzwi na klucz i zabranie kluczy ze sobą jest surowo zabronione" – tak kończył się niemiecki nakaz opuszczenia mieszkania. Zgodnie z nim, wolno było zabrać m.in. „na osobę najwyżej jeden koc wełniany, dowody osobiste i metryki, żywność na kilka dni". Zabronione było zabieranie także papierów wartościowych, przedmiotów wartościowych i ozdobnych, inwentarza, a także „umeblowania wszelkiego rodzaju".

Mieszkania miały być gotowe dla Niemców, którzy na mocy umowy między Rzeszą a ZSRR zostali wysiedleni z krajów bałtyckich, zajętych przez Sowietów. Przywożono ich na polskie ziemie wcielone do Rzeszy: Pomorze, które weszło w skład Prus Zachodnich, Górny Śląsk (włączony do prowincji pod tą nazwą), Wielkopolska z częścią Łódzkiego i Mazowsza (Okręg Rzeszy Poznań, od stycznia 1940 r. zwany Krajem Warty).

Historia (prawie) zapomniana

Pierwotne niemieckie plany przewidywały na tych ziemiach wyrzucenie z domów 8 mln ludzi, czyli 80 proc. mieszkańców z 1939 r. Była to czwarta część przedwojennej Polski. Z drugiej ćwierci Niemcy utworzyli Generalne Gubernatorstwo. Wschodnią połowę okupowali Sowieci.

Kraj Warty miał stać się „jasnowłosą prowincją", jak obiecał w grudniu 1939 r. – odwiedzając ziemie wcielone do Rzeszy – szef SS Heinrich Himmler. Namiestnik Reichsgau Wartheland, Arthur Greiser, nie wierzył w możliwość zniemczenia Polaków z Wielkopolski – w przeciwieństwie do swego odpowiednika z Gdańska Alberta Fostera. Foster uznał, że po hekatombie polskich elit w lasach piaśnickich, pozostałą ludność można przekonać do niemczyzny (choć z wyjątkami: mieszkańców polskiej Gdyni wypędzano już w październiku 1939 r.; w ciągu roku wywieziono połowę jej mieszkańców). Pochodzący ze Środy Wielkopolskiej Greiser, po doświadczeniu Powstania Wielkopolskiego, nie miał takich złudzeń. Chciał zniemczyć ziemię, a nie ludzi, stworzyć w Wielkopolsce okręg wzorcowy (*Musterga*u) i poligon narodowego socjalizmu. Ceną tej koncepcji były masowe wysiedlenia Polaków, rozpoczęte w listopadzie 1939 r.

Do marca 1941 r. deportacje z ziem wcielonych do Rzeszy objęły 365 tys. obywateli polskich (w tym 280 tys. z Kraju Warty).

Historia ta jest dziś niemal zapomniana. Przypomniał ją widzom niemiecko-francuskiej telewizji ARTE film „Jasnowłosa prowincja". Wyświetlony w 70. rocznicę wybuchu wojny dokument zrealizowali dziennikarze z Polski i Niemiec. Filmu nie pokazała dotąd polska telewizja.

Rezerwaty i selekcje

Wysiedlenia nie ograniczały się tylko do deportowania Polaków z Kraju Warty do Generalnego Gubernatorstwa. Mieszkańców poddawano także tzw. przesiedleniom wewnętrznym: np. z lepszych mieszkań do gorszych, z gospodarstw do baraków.

Dla wysiedlanych ze wsi w południowej Wielkopolsce Niemcy utworzyli trzy tzw. rezerwaty: ogrodzone miejsca, gdzie trzymano całe rodziny. W obozach przesiedleńczych dokonywano też selekcji pod kątem rasowym: szczególnie wyszukiwano dzieci, których cechy fizyczne spełniały kryteria potrzebne do ewentualnego zniemczenia.

Dr hab. Maria Rutowska, autorka książek o wysiedleniach z Wielkopolski, podsumowuje, że spośród 625 tys. w jakikolwiek sposób usuniętych z domów podczas wojny Polaków z Kraju Warty (dane niemieckie i polskie, gromadzone częściowo jeszcze podczas wojny, są tu zbliżone), 118 tys. wysłano na roboty przymusowe do Rzeszy, 23 tys. na roboty do Francji, a ponad 17 tys. na zniemczenie do Rzeszy. Pozostałych przesiedlono czy wyrugowano w ramach ziem wcielonych do Rzeszy albo wypędzono do GG.

Ambitny plan pozbycia się 80 proc. Polaków z tych ziem ostatecznie nie został zrealizowany. Ale głównie z powodów „technicznych": zaczęła się wojna z ZSRR, zmieniły się priorytety władz Rzeszy, w Warthegau potrzebna była tania siła robocza.

Drogeria 1939, drogeria 1950

„Raus, raus": ten krzyk Niemców w mundurach, wkraczających do poznańskiego mieszkania w lutowy wieczór 1940 r., pamięta 14-letnia wówczas Maria Matuszewska-Szreter. – Jużeśmy wszyscy spali. Kazali nam wstać, ubrać się w kilka minut. Nie wolno było nic zabrać, mama chciała wziąć jakąś torbę, nie pozwolili... Popędzili nas do autobusu na ulicę Winogrady i zawieźli do obozu na Głównej. Tam nas kontrolowali, musieliśmy się rozebrać, a mamie, miała taki warkocz, nawet włosy rozpletli, czy czegoś w nich nie ma – wspomina.

W obozie na Głównej Matuszewscy (rodzice z pięcioma córkami i babcią) byli trzymani przez miesiąc, czekając na transport, który zabierze ich do GG. Nie było prycz; ludzie spali na barłogu, spod którego widać było ziemię, bo słomy rzuconej na początku nie wymieniano. Podobnych obozów w Wielkopolsce było więcej.

I tak w obozie w budynku Garbarni w Gnieźnie znalazła się Maria Mikołajczak-Krzyżańska. Ojciec Marii został wcześniej wzięty przez Niemców jako zakładnik; dzień po zwolnieniu Niemcy skonfiskowali dwie drogerie, będące jego własnością, a rodzinę wyrzucili z mieszkania. Marię, będącą po chorobie, wraz z młodszą siostrą udało się umieścić u babci. Gdy rodzice zagospodarowali się nieco w GG, w Piotrkowie, matka wróciła po córki. Nie było to łatwe: Polakom nie wolno było bez przepustki poruszać się po Kraju Warty, a wysiedlonym wracać do domów. Ale matce udało się cudem dotrzeć do dzieci, a z powrotem zabrała nie tylko córki, ale też syna znajomych.

W Piotrkowie najpierw mieszkali w jednym pokoju w domu, w którym ich przygarnięto. Potem w jednopokojowym mieszkaniu po rodzinie żydowskiej. Rodzina Mikołajczaków zaangażowała się w AK-owską konspirację; Marię i siostrę aresztowali najpierw Niemcy, a po wojnie UB.

Na początku lat 50. rodzinę znów pozbawiono obu drogerii – odzyskanych po wojnie. Maria po studiach nie mogła znaleźć pracy. Także jej poznany w AK mąż zaliczał się w PRL-u do „wrogów ludu".

„Chcę, aby został ślad"

Wysiedleni wspominają życzliwość Polaków z GG, ich spontaniczną pomoc. Delikatnie podkreślają, że było to tym cenniejsze, bo „tam było biednie". Dla wysiedlanych nauczycieli, prawników, naukowców, właścicieli ziemskich kontrast między życiem w zamożniejszej Wielkopolsce a w Kongresówce był tym bardziej widoczny.

Musieli odnaleźć się w nowych warunkach. Ale najpierw, w obozach przejściowych, przechodzili „czyściec": rewizje pozbawiały ich resztek tego, co zabrali zgodnie z niemieckimi przepisami. Potem, w GG, szukali zatrudnienia, a także angażowali się w podziemie i w tajne nauczanie. W wielu miejscach, gdzie trafili wysiedleni z Wielkopolski, dopiero podczas wojny tworzono gimnazja (nielegalne).

Możliwości zdobycia wykształcenia czasem zazdrościli wysiedlonym ci, którzy zostali – w Wielkopolsce przymus pracy od 14. roku życia, skrajnie trudne warunki życia i ograniczone możliwości poruszania się sprawiały, że uczenie się było niemal niemożliwe.

Wielkopolanie organizowali się za to na wysiedleniu: w Warszawie ruszył Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich; jego wykłady odbywały się później w wielu miejscowościach GG (np. Kielcach czy Ostrowcu Świętokrzyskim). Wspólne życie i konspiracja zbliżały wysiedlonych i mieszkańców GG. Zawiązały się znajomości i przyjaźnie. Maria Matuszewska w 1947 r. podczas urlopu wróciła do Pisar, gdzie przymusowo przebywała pięć lat podczas wojny.

Po 1945 r. te więzi nabrały nowej wartości. Państwo Koberowie z Poznania spędzili okupację w Krzczonowicach (Świętokrzyskie), w gospodarstwie Dominika i Balbiny Granatów. Z wdzięczności pomogli potem ich córce Henryce w podjęciu studiów w Poznaniu, a potem także jej bratu Antoniemu.

– Mój ojciec był w AK – opowiada Krzysztof Granat z Białogardu. – W marcu 1945 r. komuniści wsadzili go do więzienia, dostał 15 lat. Ale w sierpniu uwolniło go rozbicie więzienia w Kielcach przez oddział Antoniego Hedy „Szarego". Ojciec ukrywał się w dole na ziemniaki u sąsiadów. Ale jak długo mógł tam siedzieć? Drugi z braci zaalarmował siostrę: „Heńka ratuj, bo on w tym dole zwariuje". Ciocia, która wcześniej pracowała w Opatowie w zarządzie gminy z panem Koberem i Duczmalem, ojcem słynnej dyrygentki, wyrobiła ojcu dokumenty na inne nazwisko i wyjechali do Poznania. Kober załatwił ojcu pracę w PGR-ze w Słomowie. Ja już urodziłem się pod Poznaniem, podobnie jak dwoje rodzeństwa. UB znalazło ojca dopiero w 1952 r., siedział do amnestii w 1956. Ciocia Henryka Granat została już w Poznaniu do końca życia, była nauczycielką.

Granat opisuje historię rodziny i miejscowości w internecie (www.krzczonowice.pl). Przypomina też o wygnańcach z Poznania: – Chciałem, żeby został ślad o ich pobycie u nas. O Niemcach wie cały świat, a o wypędzonych poznaniakach prawie nikt.

Listy strat

Gdy w styczniu 1945 r. ruszył front, w ślad za nim do domów wracali wysiedleni. Najpierw pojedynczo, później organizowanymi transportami.

Gospodarstwa i domy zastali na ogół okradzione: osiedleni tu bałtyccy Niemcy otrzymali ich wyposażenie od władz Rzeszy jako

„odszkodowanie" za zostawiony majątek – i uciekając teraz przed frontem, zabierali co cenniejsze rzeczy.

Po 1945 r. polscy wygnańcy nie otrzymali żadnych odszkodowań. Nawet powrót do własnych mieszkań nie zawsze był prosty: rodzina Franciszka Witaszka, szefa Związku Odwetu ZWZ w Poznaniu (zamordowanego w 1943 r.), nie dość, że nie została wpuszczona do domu w dzielnicy Grunwald, ale dostała zakaz mieszkania w Poznaniu.

Pierwsze organizacje wysiedlonych z ziem wcielonych do Rzeszy zaczęły powstawać na początku lat 90. Powstały m.in. Związek Wysiedlonych Ziemi Łódzkiej, Stowarzyszenie Gdynian Wysiedlonych czy Związek Wysiedlonych „Gniazdo".

Wcześniej, po wojnie, prowadzono rejestr strat, sprawozdanie, z którego opublikowano w 1947 r., można znaleźć je w archiwach.

Dziś archiwa badają członkowie „Gniazda". Włodzimierz Nowak, prezes stowarzyszenia (istniejącego od 2004 r.), mówi, że oczekiwał gestu dobrej woli ze strony Niemiec i zadośćuczynienia. W Poznaniu, w miejscu szczególnym, bo w dawnym cesarskim Zamku (podczas wojny siedzibie namiestnika Rzeszy) miała powstać fundacja socjalno-bytowa, wspierająca dawnych wysiedlonych. Na pisma słane do różnych przedstawicieli państwa niemieckiego przychodziła odpowiedź: Polska zrzekła się odszkodowań.

Nowak: – Jeśli nielegalne było wcielenie ziem polskich do Rzeszy, a tak było, to także nielegalne było utworzenie niemieckiego Głównego Urzędu Powierniczego Wschód, który zajął mieszkania, gospodarstwa, depozyty bankowe, przedsiębiorstwa oraz majątki stowarzyszeń i związków. Właścicielom i ich spadkobiercom należy się więc odszkodowanie. Przygotowujemy się w tej chwili do stworzenia precedensu prawnego. Gromadzimy dokumenty, chcemy wystąpić do sądu w konkretnej sprawie – mówi.

– Szanujemy naród niemiecki – zaznacza Nowak. – Nic nie mamy przeciw Niemcom, ale przeciw niemieckiemu państwu. Nie chcemy nic z łaski, chcemy, żeby rozliczyli to, jak państwo prawa, zgodnie z prawem.

◆◆◆

Dlaczego dopiero teraz odżywa na powrót ta historia?

Historyk dr hab. Maria Rutowska mówi, że pamięć o wygnaniu trwała w kręgu rodzinnym: o tym zawsze rozmawiano, przechowywano zdjęcia, pamiątki. – Trzeba jednak pamiętać, jak straszna to była wojna – dodaje. – Po niej liczono przede wszystkim ofiary egzekucji, obozów, więzień. A wysiedleni przeżyli i byli szczęśliwi, że żyją. Do tego większość wysiedlonych to byli inteligenci, kupcy, właściciele, zamożni chłopi itd., czyli kategorie społeczne, którym w PRL-u utrudniano życie.

Możliwości zrzeszania się czy pytania o zadośćuczynienie pojawiły się więc dopiero po 1989 r. A swoistą zasługę ma w tym także Erika Steinbach, przewodnicząca niemieckiego Związku Wypędzonych: jej działalność spowodowała, że Polacy postanowili przypomnieć i o swoim losie – od 1939 r. do lat 50. wypędzenia dotyczyły przecież milionów polskich obywateli.

Zofia Paszkiewicz przez lata traktowała dziennik matki jak rodzinną pamiątkę. – Kiedy do niego sięgam, czuję wzruszenie. Dziś uważam, że jest to także ważny dokument.

Ostatni zapis z wysiedleńczej epopei, dokonany przez mamę już po powrocie do Jaksic, to okrzyk radości: „Antoś wrócił!!!!!".

Zofia Paszkiewicz: – A ja na widok ojca schowałam się pod krzesło. Miałam wtedy 5 lat i widziałam go po raz pierwszy w życiu. ◆

POCIĄGI *z dziećmi*

DR BEATA KOZACZYŃSKA, HISTORYK:

LOS KILKU TYSIĘCY DZIECI, KTÓRE NIEMCY ODEBRALI RODZICOM NA ZAMOJSZCZYŹNIE I PO ZAKWALIFIKOWANIU RASOWYM WYWIEŹLI DO RZESZY W CELU ICH ZGERMANIZOWANIA, DO DZIŚ POZOSTAJE NIEZNANY.

▸ Patrycja Bukalska: W listopadzie 1942 r. Niemcy zaczęli wypędzać Polaków z okolic Zamościa, by zrobić miejsce dla niemieckich osadników. Zamojszczyzna, z rozkazu Himmlera, miała być „niemieckim terenem osiedleńczym" w GG. Akcja wysiedleńcza trwała do sierpnia 1943 r. i objęła 110 tys. ludzi, w tym 33 tys. dzieci. 10 tys. z nich zginęło. Dlaczego oddzielano dzieci od rodziców, dokąd wywożono?

Dr Beata Kozaczyńska: Niemcy kierowali rodziny do obozu przejściowego w Zamościu i tu odłączali dzieci od rodziców. Dochodziło do strasznych scen. Potem dzieci, podobnie jak pozostałych wysiedleńców, poddawano selekcji rasowej i umieszczano w najgorszych barakach, tzw. końskich, pod opieką starszych kobiet, często też potrzebujących pomocy. Głód, brud, zimno, choroby, brak leków i opieki medycznej, a przede wszystkim brak opieki rodzicielskiej powodowały wysoką śmiertelność. Wiele dzieci zginęło np. z zimna na placu obozowym w oczekiwaniu na transport kolejowy. Na przełomie 1942 i 1943 r. kilka tysięcy dzieci zamkniętych w bydlęcych nieopalanych wagonach skierowano w różne rejony GG. Najwięcej, sześć transportów, skierowano do dystryktu warszawskiego, ale dzieci trafiały też na Pomorze. W 1943 r., z powodu przepełnienia obozów w Zamościu i Zwierzyńcu, dzieci umieszczano w obozie w Lublinie przy ul. Krochmalnej i w Budzyniu (powiat Kraśnik). Dzieci z Zamojszczyzny wywożono też do obozów koncentracyjnych: Auschwitz, Majdanka i Chełmna nad Nerem.

IPN

Chłopiec z Zamojszczyzny w obozie „rasowym" przy ul. Spornej w Łodzi. Tam decydowano o germanizacji dzieci.

▸ Wieść o transportach z dziećmi rozeszła się po okupowanej Polsce, zaczęła się akcja pomocy, dzieci wykupywano z transportów. Pomagający się nie bali?

Rzeczywiście, mimo i tak okrutnej rzeczywistości, społeczeństwo zareagowało błyskawicznie i spontanicznie. Wszędzie tam, gdzie pojawiły się transporty z dziećmi z Zamojszczyzny, ludzie wykazywali ogromną ofiarność i determinację w niesieniu im pomocy, aż do zakończenia wojny. A nawet dłużej, bo wiele dzieci adoptowano.

▸ Najbardziej spektakularna była chyba akcja w Warszawie, po której Niemcy woleli nie posyłać już transportów przez stolicę.

Na wiadomość o mających przybyć pociągach ludzie gromadzili się na stacjach z kocami i żywnością. Tak było m.in. w Siedlcach, Pilawie i Sobolewie (powiat Garwolin) czy na trasach przejazdu transportów. W Warszawie reakcję mieszkańców wywołały szerzące się na początku stycznia 1943 r. pogłoski o transportach z zamarzniętymi dziećmi. Mimo terroru okupanta, mieszkańcy postanowili działać. Wiele osób ogarnęła w tym czasie prawdziwa gorączka poszukiwania dzieci. Miejscowe struktury Rady Głównej Opiekuńczej [organizacji charytatywnej, mogącej działać legalnie – red.] otrzymały 40 tys. zgłoszeń od osób wyrażających gotowość zaopiekowania się dziećmi czy nawet adopcji. Na dworcach organizowano dyżury. Warszawskim kolejarzom udało się wykupić od niemieckiej eskorty pewną liczbę dzieci wiezionych na germanizację do Rzeszy. Umieszczono je w rodzinach, głównie kolejarskich i tramwajarskich. Władze niemieckie były zmuszone oficjalnie zaprzeczać wiadomościom o transportach z dziećmi, grożąc karą więzienia za ich rozpowszechnianie.

▸ Co działo się z dziećmi po zabraniu ich z transportów?

Stłoczone w bydlęcych wagonach, zamkniętych od zewnątrz przez eskortę, często docierały do stacji docelowych w stanie agonii. Po przybyciu transportów na miejsce w dystrykcie warszawskim, np. do Siedlec, Mrozów czy w okolice Garwolina, zainteresowanie miejscowej społeczności losem tych przemarzniętych i wygłodzonych dzieci było wielkie. Dzieci były rozchwytywane z punktów zbiorczych. W Siedlcach już w ciągu pierwszej doby po przybyciu dzieci znalazły schronienie w rodzinach zastępczych w mieście i w okolicznych wsiach. Zajmowały się też nimi placówki opiekuńcze i siostry zakonne. Większość dzieci była wycieńczona pobytem w obozie w Zamościu i podróżą w nieludzkich warunkach, najbardziej chore umieszczano w szpitalach. Natomiast dzieciom zmarłym podczas transportu bądź już po przybyciu do Siedlec zorganizowano zbiorowy pogrzeb, z udziałem kilku tysięcy mieszkańców, który przerodził się w manifestację. Następne pogrzeby organizowano już z zachowaniem tajemnicy, z obawy przed reakcją Niemców.

▸ Jakie były losy tych dzieci po wojnie? Udało im się odnaleźć rodziny?

Nie wszystkie dzieci wysiedlone w różne rejony GG wróciły do rodzin. Wiele pozostało w rodzinach zastępczych bądź w placówkach opiekuńczych nie tylko do końca okupacji, ale dłużej – głównie sieroty bądź dzieci, które czekały na powrót rodziców wywiezionych na roboty przymusowe do Rzeszy. Ale los kilku tysięcy spośród tych dzieci, które Niemcy odebrali rodzicom na Zamojszczyźnie i po zakwalifikowaniu rasowym wywieźli do Rzeszy w celu ich zgermanizowania, do dziś pozostaje nieznany. ◆

→ Dr BEATA KOZACZYŃSKA jest historykiem, adiunktem w Instytucie Pedagogiki Akademii Podlaskiej w Siedlcach. Autorka m.in. monografii „Losy dzieci z Zamojszczyzny wysiedlonych do powiatu siedleckiego w latach 1943–1945" (2006).

Zagłada OJCOWIZNY

OBSZAR POLSKI, KTÓRY PO WRZEŚNIU 1939 R. ZNALAZŁ SIĘ POD OKUPACJĄ SOWIECKĄ, PRZED WOJNĄ ZAMIESZKIWAŁO 5,3 MLN POLAKÓW, 4,5 MLN UKRAIŃCÓW, 1,6 MLN BIAŁORUSINÓW I 1,1 MLN ŻYDÓW. W NASTĘPNYCH LATACH ICH LOKALNY ŚWIAT, KTÓRY KSZTAŁTOWAŁ SIĘ PRZEZ WIEKI, PRZESTAŁ ISTNIEĆ.

MACIEJ KORKUĆ

Polacy od początku płacili tu cenę za przywiązanie do własnego państwa. Przykładowo, po zaciętej obronie Grodna Sowieci zaraz zaczęli masowe aresztowania, a 300 obrońców wymordowali. Na całym obszarze okupacji bezzwłocznie zaczęto masowe aresztowania urzędników, ziemian, ludzi zaangażowanych w przedwojenną działalność polityczną i społeczną. Egzekucje urzędników i policjantów w różnych miejscach (np. we Lwowie) przeprowadzano zaraz po zajęciu tych terenów. Tylko na samym obszarze „zachodniej Białorusi" w ciągu pierwszego miesiąca aresztowano ponad 4 tys. osób.

Do sowieckiej niewoli dostało się we wrześniu 1939 r. 240 tys. polskich żołnierzy i oficerów; do października 1939 r. ponad 40 tys. z nich zwolniono, a kolejne 40 tys. przekazano Niemcom. Los pozostałych miał się dokonać – oficerów w Katyniu, a żołnierzy w obozach pracy.

Deportacje i obozy

W latach 1940-41 Sowieci dokonali czterech wielkich operacji deportacyjnych obywateli RP, których wywożono głównie na Syberię i do Kazachstanu. Miały one miejsce kolejno w lutym, kwietniu i czerwcu 1940 r. oraz w maju-czerwcu 1941 r. Dwie ostatnie objęły też żołnierzy internowanych wcześniej na Litwie i Łotwie. Dostępne dziś źródła sowieckie dokumentują 327 tys. deportowanych obywateli RP różnych narodowości; według wcześniejszych szacunków polskich liczba ta była znacząco wyższa. Przymusowa, wyniszczająca praca w łagrach i kopalniach, terror i zbrodnie, przymusowe miejsca osiedlenia w stepach Kazachstanu – wszystko to powodowało wysoką śmiertelność. Szacuje się, że już na skutek nieludzkich warunków transportu do miejsc przeznaczenia nie dotarło co najmniej 10 proc. wysiedlonych.

Równolegle z deportacjami, w latach 1939-41 prowadzono rozległe aresztowania: w więzieniach osadzono ponad 100 tys. osób, z których znaczną część wymordowano podczas śledztw i zbiorowych egzekucji. Decyzją z 5 marca 1940 r. postanowiono przeprowadzić „akcję specjalną", polegającą na wymordowaniu jeńców-oficerów. Z kolei 25 tys. jeńców-żołnierzy skierowano do jednego z największych obozów koncentracyjnych na ziemiach wschodniej Polski, tzw. obozu rówieńskiego (od 1940 r. zwanego lwowskim). W ramach „Budowy NKWD nr 1" żołnierze byli wykorzystywani m.in. do niewolniczej pracy przy budowie strategicznej szosy łączącej Nowogród Wołyński z Lwowem. Dalszych 14 tys. zmuszono do pracy w kopalniach żelaza i wapienia na Ukrainie, a 8 tys. do budowy linii kolejowej w republice Komi; śmiertelność była tam ogromna.

OGŁOSZENIE

Wyzwoliciele-okupanci

Sowiecki terror został przerwany przez atak Hitlera na ZSRR. Choć nie do końca: w trakcie akcji „ewakuacyjnej" NKWD zamordowało co najmniej 9,5 tys. osób. Dzięki szybkim postępom Wehrmachtu z więzień NKWD wyzwolono 18,5 tys. ludzi: dla nich *blitzkrieg* był błogosławieństwem. Niektórych uratowano w ostatniej chwili; np. wileńscy kolejarze nocą z 23 na 24 czerwca 1941 r. potajemnie odczepili wagony z ostatniego transportu NKWD.

Zapętlenie historii spowodowało, że większość ludności Kresów oczekiwała Niemców jak wyzwolicieli. Niejednokrotnie byli witani zarówno przez ukraińską, białoruską, jak i polską ludność zajmowanych miejscowości. „I wreszcie przyszli Niemcy. Cieszyłem się jak wszyscy" – wspominał Tadeusz Czarkowski-Golejewski, Polak z Tarnopolszczyzny. – „Sam niosłem kwiaty i zsiadłe mleko na ich powitanie. Ukraińcy witali ich dosłownie na kolanach".

Szybko okazało się, że „wyzwolenie" to nowa okupacja, oparta na represjach i terrorze. W pierwszym rzędzie programowemu wyniszczeniu poddani zostali Żydzi i Cyganie. W następnych latach jednym z największych miejsc kaźni ludności żydowskiej stał się Babi Jar koło Kijowa; zamordowano tam 150 tys. ludzi. Później dołączyły do nich takie miejsca jak Ponary koło Wilna, które stały się największym tego rodzaju miejscem zbrodni na Kresach: w latach 1941-44 Niemcy i kolaborujący z nimi Litwini wymordowali tam 100 tys. osób – głównie Żydów, ale także tysiące Polaków.

Wygnanie w cieniu ludobójstwa

Zasadniczej zmianie uległa sytuacja Polaków na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. W 1942 r. powstała Ukraińska Powstańcza Armia (UPA), która podjęła walkę zarówno z Niemcami i Sowietami, jak też otwarcie wystąpiła przeciw Polakom. W pierwszej połowie 1943 r. UPA, na Wołyniu liczniejsza od polskiej partyzantki, zaczęła systematyczne rzezie polskiej ludności. Najwięcej zbrodni dokonano w lipcu i sierpniu 1943 r. W sumie Ukraińcy wymordowali na Wołyniu 50-60 tys. Polaków.

Ci, którzy przeżyli, uciekali do Polski centralnej. Ci, którzy przeżyli i zostali, tworzyli lokalne samoobrony i oddziały AK. Część desperacko wstąpiła w szeregi sowieckich oddziałów leśnych, a także do tworzonych przez Niemców oddziałów policji pomocniczej. Powszechna była żądza zemsty na Ukraińcach: Polacy podjęli akcje odwetowe, polegające na mordowaniu wsi ukraińskich, choć działania takie nie osiągnęły skali działań UPA (szacuje się, że w ramach polskich akcji odwetowych na Wołyniu zginęło kilka tysięcy Ukraińców).

Przygotowania do obrony przed Ukraińcami AK podjęła także w Galicji Wschodniej. Nie zapobiegło to jednak mordom UPA, których apogeum przypadło tu na rok 1944; jedną z pierwszych zaatakowanych miejscowości była Huta Pieniacka, gdzie 28 lutego 1944 r. wymordowano 1200 Polaków. W Galicji mordy poprzedzała UPA akcjami propagandowymi, co może świadczyć, że zmierzano tutaj do wygnania Polaków, a terror miał być narzędziem odstraszającym. Rzeczywiście, było to skuteczne: w ramach masowego eksodusu z Wołynia i Galicji uciekło na zachód, najczęściej do Polski centralnej, od 300 do 450 tys. Polaków.

Podobne próby UPA podejmowała na wschodniej Lubelszczyźnie, ale tu dzięki sile polskiego podziemia miała ona zasięg mniejszy, a ofiary po obu stronach były podobne: po ok. 4,5 tys. zabitych.

Czystki na rozkaz Moskwy

Z kolei w północno-wschodniej części okupowanego kraju do antypolskiej ofensywy przeszły sowieckie oddziały leśne, którymi z reguły dowodzili specjalnie przeszkoleni przez NKWD dywersanci. Ich akcja była powiązana z sukcesami ZSRR na froncie – i z ostatecznym zerwaniem przez Stalina stosunków dyplomatycznych z Polską w kwietniu 1943 r. Było to zatem także przygotowanie do powrotu rządów sowieckich. „Należy wszelkimi rodkami prowadzi walk przeciwko polskim burżuazyjno-nacjonalistycznym oddziaom i grupom" – głosił rozkaz z 22 czerwca 1943 r. do sowieckich grup dywersyjnych. Mordowano nie tylko żołnierzy AK, ale też ich rodziny i w ogóle cywilnych mieszkańców wsi. Dokonywano rabunków, a mężczyzn siłą wcielano do sowieckich oddziałów.

Przykładem tych działań są Naliboki na Nowogródczyźnie: w maju 1943 r. sowieckie oddziały dowodzone przez płk. NKWD Grigorija Sidoruka zaatakowały miasteczko. Na miejscu mordowano mężczyzn, rabowano dobytek, podpalano domy. W sumie Sowieci zabili 128 osób i podpalili część domów. Losu Naliboków dopełnili Niemcy, którzy w sierpniu 1943 r. spalili resztę. Niedługo potem obiektem agresji sowieckiego zgrupowania leśnego stał się oddział partyzancki AK ppor. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica". A w grudniu 1943 r. Sowieci aresztowali i wymordowali zaproszoną na wspólną „naradę" część sztabu oddziału Obwodu AK Stołpce wraz z dowódcą i przystąpili do rozbrajania i likwidacji żołnierzy.

Rozbudowa sił AK w następnych miesiącach zablokowała „oczyszczanie" tych ziem. Faktycznie doszło tu do lokalnej wojny polsko-sowieckiej. Szacuje się, że w sumie jeszcze podczas okupacji niemieckiej na obszarach wschodniej Polski z rąk sowieckich grup leśnych zginęło około tysiąca żołnierzy AK i wielokrotnie więcej polskiej ludności cywilnej.

W styczniu 1944 r. Armia Czerwona ponownie przekroczyła wschodnią granicę Rzeczypospolitej. W ramach planu „Burza" dochodziło do współdziałania frontowego AK z Sowietami: chodziło o wymuszenie respektowania przez ZSRR polskiej suwerenności na tych ziemiach. Tak było najwcześniej na Wołyniu, potem na Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie. W lipcu 1944 r. kilka tysięcy żołnierzy zgrupowań wileńsko-nowogródzkich AK wspólnie z Sowietami prowadziło kilkudniowe walki o Wilno – po czym NKWD aresztowała oficerów i żołnierzy AK. Tak było również po wspólnych walkach o Lwów. Represje sowieckie, wywózki do łagrów prowadzono wkrótce na całym obszarze wschodniej Polski.

Na Kresach AK poniosła z rąk Sowietów straty (zabici, ranni, aresztowani) więk-

DHM

Wagonami bydlęcymi, nierzadko w kilku etapach i po wielu dniach podróży, Polacy z Kresów Wschodnich trafiali na poniemieckie „ziemie odzyskane": do Szczecina, Wrocławia, Wałbrzycha.

sze niż z rąk Niemców. Po 1944 r. do obozów w ZSRR wywieziono kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy i ich rodziny. Tak było np. z wileńskimi AK-owcami; tylko część z prawie 8 tys. rozbrojonych żołnierzy AK uciekła do domów albo znów do lasu. Część aresztowanych Sowieci skierowali do armii Berlinga, większość trafiła do łagrów.

Kolejne fale terroru

Po 1944 r. do Litewskiej i Białoruskiej SRR skierowano wielotysięczne siły NKWD. Według obliczeń sporządzonych na podstawie dokumentów sowieckich, od połowy 1944 do 1947 r. na obszarach tych Sowieci zastrzelili w walkach z oddziałami partyzanckimi lub zamordowali co najmniej 3-4 tys. Polaków, a w ramach akcji „oczyszczających" aresztowali i deportowali do łagrów 25 tys.

Przykładem bezwzględności wobec cywilów są Ławże koło Turgieli, gdzie 23 lutego 1945 r., po bitwie z AK, siły NKWD wymordowały wszystkich mieszkańców, a wieś spaliły. „Ławż nie było – relacjonował świadek masakry. – Wszędzie po podwórkach leżały trupy pomordowanych dzieci, kobiet, mężczyzn. Jeden z mieszkańców »siedział« martwy przy płocie z przedziurawioną głową. Żona Jerzego Dziadulewicza leżała twarzą do góry, a w jednym i drugim ręku trzymała rączki swych nieżywych wnucząt. Dziewczynka miała 5 lat, chłopczyk 7. Wszyscy mieli przestrzelone głowy. Nieopodal leżeli zabici rodzice tych dzieci".

Podobnie było na obszarach wcielonych do Ukraińskiej SRR, choć po rzeziach Polaków dokonanych w czasie wojny populacja polska był tam już przetrzebiona. Największą antypolską akcję represyjną we Lwowie przeprowadzono w styczniu 1945 r.: aresztowano i wywieziono do łagrów w Donbasie 2,5 tys. osób. Dla Polaków, którzy pozostali tam na ojczystej ziemi, postrachem była wciąż UPA: choć we wrześniu 1944 r. oficjalnie zrezygnowała ona z akcji antypolskiej (faktycznie osiągnięto jej zbrodnicze cele), to poszczególne oddziały napadały na polską ludność jeszcze w 1945 r.

Sowieci, inaczej niż Niemcy, nie tolerowali żadnych niezależnych od nich sił samoobrony. Do walki z ukraińskim podziemiem tworzyli podporządkowane NKWD tzw. Istriebitielnyje Bataliony, w których znalazło się wielu Polaków. Część z nich została tam przymusowo wcielona, część widziała w nich jedyną możliwość uniknięcia poboru do Armii Czerwonej (bataliony działały na miejscu). Niektórzy wstępowali do nich ochotniczo, aby bronić Polaków lub zyskać okazję do odwetu na Ukraińcach. Były nawet przypadki utworzenia takich batalionów na bazie rozwiązanych po „Burzy" oddziałów AK. Charakterystyczne: choć istniały Istriebitielnyje Bataliony o różnym charakterze narodowym, Ukraińcy niekiedy nazywali je „polską policją".

Ekspatriacje

W latach 40. wschodnie tereny II RP zasadniczo zmieniły oblicze etniczne, które wcześniej kształtowało się przez stulecia. Na skutek sowieckiego terroru i deportacji zniknęła większa część polskiej społeczności. Niemcy wymordowali Żydów. Zaczęto sprowadzać mieszkańców wschodniej Ukrainy i Białorusi oraz innych republik ZSRR – głównie Rosjan, którzy obsadzali stanowiska w administracji, zasilali kadry zakładów pracy itp.

Po wojnie tereny włączone do ZSRR zostały poddane sowietyzacji i faktycznej depolonizacji. Tragiczne doświadczenia pierwszej okupacji sowieckiej (1939-41), polowania na żołnierzy podziemia i kolejne wywózki do łagrów, w końcu przymusowy pobór młodzieży do Armii Czerwonej spowodowały nowe ofiary i ucieczkę wielu mieszkańców Kresów do Polski centralnej i zachodniej. Proces wyjazdów z rodzinnych stron, zamieszkanych od setek lat, przez komunistyczną propagandę po obu stronach Bugu nazywany był oficjalnie „repatriacją". Czyli, jak na urągowisko, „powrotem do ojczyzny". W rzeczywistości była to ekspatriacja – wysiedlenie bądź wymuszone opuszczenie ziemi ojczystej.

Cała południowa część wschodnich ziem II RP uzyskała ukraiński charakter etniczny. Już w latach 1943-44 z obszaru wcielonego do Ukraińskiej SRR wyjechało ok. 1,5 mln Polaków. Eksodus trwał w następnym okresie. Władze naciskały na szybkie przeprowadzenie wysiedleń. Nadzieje na powrót Lwowa w granice Polski powodowały początkowo niechęć do wyjazdów z samego miasta. Dlatego zaczęto stosować, szczególnie wobec inteligencji, rozliczne represje, np. w postaci konfiskaty mienia i poboru do armii sowieckiej.

Na terenie obecnej zachodniej Ukrainy zostało ledwie 150-250 tys. Polaków-rzymskich katolików. Z Wołynia żywioł polski zniknął prawie w całości; przetrwały jedynie resztki polskich społeczności. Po wielu spalonych wsiach nie zostało nawet śladu. Paradoksalnie, największe skupiska polskiej ludności przetrwały na obszarach położonych poza przedwojennymi granicami Polski: po czystkach etnicznych, wywózkach i ekspatriacji największym skupiskiem ludności polskiej stała się Żytomierszczyzna i obwód chmielnicki (czyli obszary, które po 1921 r. znalazły się w ZSRR). Bardziej zauważalne skupiska Polaków przetrwały też we Lwowie i okolicach. W 1959 r. na całej Ukrainie mieszkało ok. 363 tys. Polaków.

Czerwona lituanizacja

Mimo olbrzymiej skali ekspatriacji, polska ludność przetrwała w najbardziej zwartym skupisku głównie na Grodzieńszczyźnie i Wileńszczyźnie – przedzielonej wzdłuż granicą litewsko-białoruską. Polacy w obu tych republikach sowieckich byli przez następne dziesięciolecia przedmiotem bezwzględnej polityki władz lokalnych i moskiewskiej centrali.

W obu republikach przez długi czas, wbrew spisom ludności, w ogóle negowano istnienie polskiej mniejszości. Litewscy komuniści szybko zaadoptowali nacjonalistyczne teorie mówiące, że na Litwie nie ma Polaków, lecz „Litwini mówiący po polsku". Na Białorusi do początku lat 90. obowiązywała wersja, że nie ma tu Polaków, a jedynie „skatolicyzowani Białorusini". W obu republikach sytuacja powojenna kształtowała się podobnie, choć na Litwie z większym uporem próbowano realizować politykę wynaradawiania. Niewielki obszar kilkunastu tysięcy kilometrów kwadratowych, stanowiący część Wileńszczyzny wcielonej do Litewskiej SRR, w latach 1945-48 opuściło aż 200 tys. Polaków, z czego 100 tys. stanowili mieszkańcy samego Wilna.

Władze sowieckiej Litwy prowadziły konsekwentną politykę lituanizacyjną. Dążąc do depolonizacji miasta jako stolicy republiki, prowadziły naciski na wyjazdy Polaków, którzy jeszcze w 1945 r. stanowili ponad 80 proc. mieszkańców – opornych pozbawiano kartek żywnościowych, wyrzucano z mieszkań. Do Wilna zaczęli przybywać Litwini i Rosjanie z głębi ZSRR. W efekcie w 1959 r. tylko 20 proc. mieszkańców stanowili Polacy (Litwini 50 proc., a Rosjanie także 20 proc.).

Gdzie wieś pozostała polska

Natomiast inna sytuacja była na terenach wiejskich. Z obawy przed nagłym spadkiem produkcji żywnościowej w regionie zamieszkanym niemal tylko przez Polaków ograniczano wyjazdy. Stwarzano utrudnienia administracyjne, skądinąd licząc na to, że ludność wiejska, pozbawiona elit inteligenckich, będzie bardziej podatna na wynarodowienie.

Jednak mimo wywózek, wojennych strat i represji Wileńszczyzna jako jedyny region wschodnich ziem Rzeczypospolitej utrzymała swój polski charakter przez następne dziesięciolecia, aż do XXI w. Wielu Polaków zostało na ojcowiźnie, nie decydując się na wyjazd w nieznane. Niektórzy, przeżywszy różne zmiany państw i ustrojów, liczyli, że sytuacja może się jeszcze odmienić. Jeszcze inni uważali, że trzeba czekać na powrót zesłanych i wywiezionych na Syberię i do Kazachstanu – żeby mieli domy, do których będą mogli wrócić. Byli też najwytrwalsi, którzy uważali za obowiązek podtrzymywanie polskości na ziemi ojców – i wielu z nich długo kontynuowało pracę konspiracyjną.

W rezultacie, mimo litewsko-rosyjskiej akcji osadniczej, przetrwał tam zwarty obszar etniczny, gdzie Polacy stanowią (nawet wg spisów sowieckich) ponad 80 proc. ludności. Według oficjalnych danych, w 1959 r. na Litwie w dalszym ciągu mieszkało 230 tys. osób narodowości polskiej. W rejonie nowowilejskim stanowili ponad 89 proc. mieszkańców; w solecznickim, niemenczyńskim, wileńskim – odpowiednio 83 proc., 76 proc., 75,8 proc. W wielu innych stanowili ponad połowę ludności bądź najliczniejszą grupę narodowościową.

Natomiast z terenów wcielonych do republiki białoruskiej wyjechało w II połowie lat 40. ponad 400 tys. Polaków. Tu również kładziono nacisk na wysiedlenie inteligencji, licząc na rusyfikację pozostałych. Jak na Litwie, wielu chłopom odmawiano prawa do wyjazdu w obawie przed utratą potencjału roboczego. Procesy rusyfikacji i sowietyzacji w odniesieniu do Polaków były mało skuteczne, choć w kolejnych dekadach część ludności przestała się posługiwać językiem polskim.

Największe skupisko ludności polskiej przetrwało na Grodzieńszczyźnie i w białoruskiej części Wileńszczyzny. Według spisu z 1959 r., w ośmiomilionowej Białorusi mieszkało 538 tys. Polaków, którzy w wielu rejonach stanowili dominującą grupę narodową.

20 lat później

W końcu lat 40. i w latach 50. Polacy – podobnie jak Ukraińcy, Białorusini czy Litwini – zostali poddani wszystkim ograniczeniom, jakie niosła z sobą sowiecka władza. Z żelazną konsekwencją przeprowadzono przymusową kolektywizację rolnictwa, zakończoną w latach 1949-50. Gospodarzom, którzy nie zgodzili się na przejście do kołchozu, konfiskowano ziemię, dając prawo do uprawy tylko domowego ogródka. Bezwzględnie egzekwowano pobór do sowieckiej armii.

Część Polaków, którzy przetrwali łagry, zwalniano do domów. W tym czasie kolejne grupy były obejmowane deportacjami i represjami. Między innymi w 1951 r. przeprowadzono na Białorusi akcję deportacji do obwodu irkuckiego tzw. andersowców, czyli ok. 4 tys. żołnierzy (wraz z rodzinami) z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy zdecydowali się wrócić po wojnie w rodzinne strony.

W efekcie po 1955 r., gdy na fali „odwilży" możliwe stały się znów masowe wyjazdy do (już) PRL-u, z terenów zaanektowanych przez ZSRR wyjechało kolejne ćwierć miliona Polaków.

Ostatni opuszczali kresową ojcowiznę w 1959 r. – w 20 lat po tym, jak rozpętana przez Hitlera i Stalina wojna zaczęła etniczną hekatombę Europy Środkowej. ◆

ROZPROSZENI

IPN X 2

Rok 1939: na plebanii w Starogardzie Niemcy oblewają wygnanie proboszcza ks. Antoniego Szumana (zdjęcie powyżej); jeden z nich przebrał się w sutannę. Wkrótce potem ksiądz został zamordowany.

URODZIŁ SIĘ W POLSKIEJ GDYNI W PIERWSZYCH MIESIĄCACH 1939 R.

PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ W TYM MIEŚCIE, NOSZĄCYM JUŻ NAZWĘ GOTENHAFEN, „PORT GOTÓW", ROZPOCZĘŁA SIĘ JEGO PRZYMUSOWA PODRÓŻ.

TOMASZ ŻUROCH-PIECHOWSKI

Rodzice Benedykta Wietrzykowskiego przybyli do Gdyni w latach 30. z różnych stron kraju. Ojciec, Konrad, pochodził z południowej części Pomorza: z Błądzimia pod Świeciem, na skraju Borów Tucholskich. Nad Bałtyk przyciągnęła go praca w stolarni, produkującej na potrzeby gdyńskiej stoczni. Zamieszkał na kwaterze w dużym czynszowym domu przy ul. Morskiej 263, wzniesionym przez miejscowego Kaszubę.

Do tego samego budynku wprowadziła się późniejsza matka bohatera tej opowieści, która przybyła do Gdyni wraz z licznym rodzeństwem (troje sióstr i dwóch braci) z Krobi w powiecie gostynińskim w Wielkopolsce. Gertruda pracowała w sklepie brata, pod tym samym adresem, na parterze budynku.

Kiedy Konrad i Gertruda pobrali się, bracia panny młodej pomogli im kupić własny sklep. Interesy musiały iść dobrze: jeszcze w 1939 r. małżonkowie kupili kolejny sklep, przy ul. Słupeckiej 17. W tym też roku przyszło na świat ich młodsze dziecko, syn Benedykt.

Milczące miasto

17 września 1939 r. wódz Adolf Hitler przybył z wizytą do miasta, które dwa dni później przemianowano na Gotenhafen. Nie witały go tu radosne tłumy, jak w niemieckim Gdańsku. Miasto było wyludnione. Niemcy zabezpieczyli się przed ewentualnymi niepokojami. Wielu mieszkańców, głównie mężczyzn, aresztowano. Część z nich przepędzono pieszo przez Sopot do Gdańska, gdzie znaleźli się w osławionej katowni Victoria Schule. Inni, w liczbie ok. 5 tys. osób, zostali skoszarowani na miejscu: w szkołach, na placach pod gołym niebem i w innych miejscach. Byli zakładnikami.

Wśród aresztowanych znalazł się także Konrad Wietrzykowski – jednak udało mu się zbiec w czasie marszu. Ukrywał się w pobliskich lasach. Uniknął w ten sposób pobytu w obozie koncentracyjnym Stutthof, a być może i śmierci w Lesie Piaśnickim pod Wejherowem. Po wyjeździe Hitlera doszło bowiem do „selekcji" aresztantów: ci najbardziej zasłużeni dla polskości już nie wrócili do domów.

15 października 1939 r. o godzinie piątej nad ranem pod dom przy ul. Słupeckiej 17 zajechały niemieckie samochody. Gertruda Wietrzykowska z półrocznym synem Benedyktem na ręku i 2,5-letnią córką Haliną zostali załadowani na ciężarówkę Opel Blitz, na której tłoczyło się już kilkadziesiąt osób. W podobny sposób wywieziono wszystkich polskich mieszkańców budynku. W mieście mogli zostać jedynie Polacy zatrudnieni w kluczowych dziedzinach gospodarki (np. wodociągach) i volksdeutsche. Do grupy tej władze okupacyjne zaliczyły Niemców zrzeszonych przed 1939 r. w organizacjach nacjonalistycznych bądź niezrzeszonych, ale wychowujących swe dzieci w kulturze niemieckiej (o ile poręczyli za nich „bezsporni" volksdeutsche).

„Ewakuacja"

Do grupy tej nie zaliczano Kaszubów. Na miejscu mogli zostać jedynie ci z nich, którzy urodzili się na miejscu – w Gdyni lub Orłowie. Kaszubi, osiedleni w mieście już za czasów II Rzeczypospolitej, mieli zostać „rozproszeni" po kaszubskich miasteczkach, takich jak Wejherowo czy Kościerzyna, jeżeli mieli tam krewnych, do których można było ich dokwaterować. Ci, którzy z jakichś powodów na krewnych liczyć nie mogli, mieli być traktowani „tak samo jak Polacy". Rozporządzenia władz okupacyjnych nie czyniły wyjątku dla mieszkańców urodzonych w byłej pruskiej prowincji Prusy Zachodnie: jeśli nie dali wcześniej dowodów swej niemieckości, mieli być traktowani tak jak ci, którzy przybyli do Gdyni z centralnej Polski.

Planowe wysiedlenia gdynian służyć miały polityce „umacniania niemczyzny", sformułowanej przez Hitlera w dekrecie z 7 października 1939 r. Rozwijano ją później w innych dokumentach. Do założeń tej polityki należało: sprowadzenie do Rzeszy Niemców mieszkających poza jej granicami, usunięcie grup narodowościowych, które stanowić mogły „zagrożenie dla Rzeszy oraz jej mieszkańców" i stworzenie dla Niemców przestrzeni osadniczej na ziemiach polskich podbitych przez Wehrmacht. Oczywiście Pomorze Gdańskie, wcielone w 1939 r. do Rzeszy, traktowano jako swego rodzaju „ziemie odzyskane".

Wypędzenie Polaków z Gdyni władze niemieckie nazwały eufemistycznie „ewakuacją". Bezpośrednim powodem tej akcji było przekształcenie portu gdyńskiego w największy port wojenny Kriegsmarine, uniemożliwienie miejscowej ludności akcji sabotażowych oraz zwolnienie mieszkań dla ludzi nowej władzy – wojskowych i cywilów oraz tzw. Bałtów, czyli Niemców nadbałtyckich. Dla tych ostatnich, przesiedlanych w ramach umowy niemiecko-sowieckiej, Gdynia miała być miejscem etapowym, w drodze „powrotnej" w głąb Rzeszy.

Sąsiad „zapomniał"

Tamtego październikowego dnia Gertruda Wietrzykowska orientowała się, że jadą na południe. W samochodzie było ciasno i zimno. Podróż trwała już trzeci dzień, nie wiadomo było, jak długo w tych warunkach wytrzymają dzieci. Na postoju w Nakle nad Notecią siostry PCK dały im wodę z mlekiem. Kierowca miał wysadzić wszystkich aresztantów pod Warszawą, a potem wraz ze strażnikami ruszyć do Rzeszy po uzbrojenie. Wietrzykowska dogadała się z nim, że w zamian za złotą biżuterię wysadzi ją w okolicach Poznania.

Pod koniec października dotarła do swych rodziców w Krobii. W okolicach Bożego Narodzenia do rodziny dołączył Konrad, któremu udało się wydostać z Gdyni. W międzyczasie próbował zabezpieczyć część majątku rodziny, powierzając go zaufanemu, jak się zdawało, znajomemu.

Benedykt dorastał w Krobii. Miejscowość nie była bezpieczna. Jednej z polskich rodzin władze zabrały dwójkę dzieci do zniemczenia w Rzeszy. Rodzice bali się o blondynka, osłuchanego z językiem niemieckim. Gdy w okolicy pojawiał się żandarm, chowano go w piwnicy. Wietrzykowscy zamieszkali u Polki, której syn był potrzebny dla okupacyjnej gospodarki. Inni nie mieli tyle szczęścia. Gertruda znalazła pracę w gospodarstwie Niemca Franza Weigla, świeżo tu osiedlonego. Konrad pracował w tartaku u jego córki Hildy.

W Boże Narodzenie 1944 r., na wieść o zbliżającym się froncie, Weiglowie uciekli. Polacy zaczęli powoli odżywać. Otwarto kościół, zamieniony wcześniej na magazyn. Także pozostali „Niemcy zaczęli opuszczać ten teren. Obserwowaliśmy w styczniu, w lutym, tęgi mróz – Niemcy jechali zaprzęgami konnymi, niektórzy szli obok wozów. Każdy koń ciągnął za sobą co najmniej dwa wozy, bo tyle rzeczy zabierali Niemcy ze sobą, tyle nagrabili. Uciekali na zachód, a dzień, dwa za nimi szedł front radziecki, czołgi" – wspominał niedawno Benedykt Wietrzykowski.

15 maja 1945 r., po uciążliwej podróży przez Poznań, „tak jak nasi różni znajomi wyjeżdżali z Gdyni bydlęcymi wagonami, tak myśmy bydlęcymi wagonami wracali do Gdyni". Na miejscu okazało się, że wszystko trzeba zaczynać od nowa. „Zaufany" sąsiad, u którego ojciec zostawił majątek na przechowanie, „zapomniał", że taki fakt miał miejsce. Dochodzenie swych praw okazało się niemożliwe: niedawny volksdeutsch, a teraz członek komunistycznej PPR okazał się nietykalny. Byli i tacy pośród Kaszubów.

Babcia

Opisana wyżej historia jest poniekąd nietypowa. Wysiedlenia dokonywane z Gdyni w październiku i listopadzie 1939 r. określa się mianem „dzikich". Dopiero akcja prowadzona od początku 1940 r. przez niemiecką Centralę Osiedleńczą miała charakter planowy. Objęła także ludność licznych wsi i miasteczek pomorskich. Według szacunków historyków (Włodzimierz Jastrzębski, Jan Sziling) w czasie wojny hitlerowcy wysiedlili z okręgu Rzeszy Gdańsk–Prusy Zachodnie ok. 170 tys. Polaków i Żydów. Przy czym była to zaledwie jedna z form represji i to nie najbardziej dotkliwa, choć położyła się cieniem na życiu wielu ludzi.

Przez obóz przejściowy w dawnej fabryce narzędzi rolniczych w Tczewie na przełomie stycznia i lutego 1940 r. przewinęli się moi dziadkowie, wysiedleni z okolicznych wiosek. Właściwie przyszli dziadkowie, bo poznali się dopiero na robotach w GG, gdzie wzięli ślub. Ich pomorskie gospodarstwa zajęli Niemcy z Besarabii. O wojnie się w domu nie mówiło, ale zawsze była gdzieś w pobliżu. W tle. Rozproszyła rodzinę – od Dachau po Toowoomba w australijskim Queensland.

Kiedy babcia Zofia opuszczała próg własnego domu, choćby na chwilę, zawsze miała w torbie kromkę chleba. „Babciu, po co ci ten chleb?" – pytałem. „Kto ze sobą nosi, nikogo nie prosi" – odpowiadała. Gromadzenie żywności na zapas było jedną z jej obsesji. Po śmierci babci w moje ręce trafiła „Kennkarte": dokument tożsamości, wystawiony przez okupacyjną administrację w świętokrzyskim Jędrzejowie. Dotarło do mnie wówczas, że dla babci wojna skończyła się dużo później niż w 1945 r. ◆

W tekście wykorzystałem fragmenty relacji Benedykta Wietrzykowskiego „Wygnania i powroty" w opracowaniu Barbary Polak, „Biuletyn IPN", nr 5/2004.